

Spotkanie na south-west od Bombaju...

– „Pogoria”, „Pogoria”, „Pogoria”. „Dar Młodzieży” woła! „Pogoria”, „Pogoria”, „Pogoria”. „Dar Młodzieży” woła! Słucham 12 429,2...

Z odbiornika dolatywały nas szумы, piski, trzaski i strzępy nakładających się rozmów w rozmaitych językach. Nasz „radio”, Wojtek Rękawek, po raz kolejny pokręcił jakimiś gałkami „wrzucił” inną antenę i znów tym samym spokojnym głosem wywoływał: – „Pogoria”, „Pogoria”, „Pogoria”. „Dar Młodzieży” woła! „Pogoria”, „Pogoria”, „Dar Młodzieży” woła!

Z odbiornika jak poprzednio dolatywały nas tylko szумы i trzaski. – Nic z tego nie będzie. Są jeszcze za daleko. Oni mają przecież znacznie słabszą radiostację. Może za kilka dni gdy będziemy bliżej... zaczął „radio”. Nagle z pośród jazgotu odbiornika wyraźnie doleciało nas: – „Dar Młodzieży”, „Dar Młodzieży” – „Świecie” woła! „Dar Młodzieży”, „Dar Młodzieży” – „Świecie” woła!

Wojtek pochylił się nad słuchawką i zawołał: – „Świecie”, „Świecie”, „Świecie”. „Dar Młodzieży” odpowiada! Jak pan mnie słyszy? Odbiór!

– Słyszę pana dobrze, słyszę pana dobrze. Dzień dobry panu. „Podśluchałem”, że nie możecie dowołać się „Pogorii”. Ja odbieram ją. Odbieram ją na trójceczkę. Oni was słyszą. Oni was słyszą, tylko mają znacznie słabszy sygnał, i tutaj mocno „przykrywają” ich ci Grecy... – Może spróbujcie panowie przejść na ósemkę, powtarzam na ósemkę. Tam jest teraz znacznie czystiej i powinniście się usłyszeć. Jak pan rozumiał? Odbiór!

Wojtek zerknął szybko na podręczną „ściągawkę” częstotliwości „intership communication” i odpowiedział: – Zrozumiałem pana dobrze. Zrozumiałem dobrze. Może niech „Pogoria” wobec tego zaproponuje na jaką ósemkę, na jaką ósemkę, bo nie wiem co oni tam mają u siebie. Jakie ósemki ma ich nadajnik...?

– Dobra „Dar Młodzieży”. Zaraz zapytam ich. Zaraz ich zapytam... – doleciał nas z głośnika głos radiooperatora m/s „Świecie”. Słyszeliśmy, jak wywołuje „Pogorie” i przekazuje im propozycję zmiany częstotliwości. „Pogorii” nie słyszeliśmy nadal.

– Oni tam mają rzeczywiście bardzo skromny nadajnik – powiedział Wojtek – kiedyś w Southampton czy Lisbonie, nie pamiętam już, podczas Operacji Żagiel „Pogoria” stała koło nas i oglądałem ich urządzenie. Nie przypominam sobie teraz, ale ósemkę chyba powinni mieć...

– „Dar Młodzieży”, „Dar Młodzieży” – „Świecie” woła! – zakrzypiało w głośniku.

– „Dar” odpowiada! – rzucił natychmiast nasz „radio” do mikrofonu.

– Przekazałem „Pogorii” naszą rozmowę, przekazałem naszą rozmowę, oni zresztą sami ją też słyszeli. Proponuję 8-291 koma 1. Powtarzam 8-291 koma 1. Przechodzą na nią i tam będą was wołać. Ja też tam pójde i gdybyście ich nie słyszeli, to będę pomagał. Jak pan rozumiał? Odbiór! – wyraźnie i czysto słyszeliśmy drobnicowiec.

– Zrozumiałem – 8-291 koma 1. O.K. przechodzimy. Up! – odpowiedział Wojtek. Przeostroił nadajnik i odbiornik. Z kakofonii bynajmniej nie „eterycznego jazgotu” po chwili dobiegł nas słabiutki lecz rozróżnialny już głos.

– „Dar Młodzieży”, „Dar Młodzieży”. „Pogoria” woła! Słucham osiem, 291 przecinek 1! – Tu, na tej częstotliwości, nie było już skutecznie zagłuszającego ją poprzednio Greka, który nawet gdy akurat nie rozmawiał, gwizdaniem w mikrofon próbował wypłoszyć nas z „jego częstotliwości”.

– „Pogoria”, „Pogoria”, „Pogoria”. „Dar Młodzieży” – słyszę pana słabiutko. Słyszę pana słabiutko. Proszę powołać mnie dla strojenia. Odbiór! – wyrecytował Wojtek i pokazując nam byśmy byli cicho, pochylił się nad odbiornikiem.

Po dłuższej nieco chwili, udało mu się „odcedzić” wąty sygnał „Pogorii” od zalewających go wizgotów, pisków i trzasków eteru. Poszczególne słowa bardziej jednak „wyczuwaliśmy”, niż rozróżnialiśmy uchem. Wojtek odwrócił się do nas znad odbiornika i zrezygnowanym głosem powiedział: – Nie pogadasz sobie dzisiaj żeglarzu. Nie pogadasz. Umówimy się na jutro. Będziemy już bliżej, może będzie lepiej. Spróbuję im przepchać naszą pozycję i może z pomocą „Świecia” uda nam się odebrać ich współrzędne, ale nic więcej z tego nie wyjdzie. Zresztą za kwadrans muszę iść do Bombaju na prognozę... a potem pod prysznic. Trudno redaktorze, trzeba będzie poczekać do... przyszłego roku – uśmiechnął się kpiarsko. Był wieczór 31 grudnia 1983 roku.

Nadejście Nowego Roku świętowaliśmy skromnie. Punktualnie o 12 czasu lokalnego, w kraju była wtedy dopiero 8 wieczorem, komendant złożył życzenia na mostku i w maszynie – gdzie nieprzerwanie trwają wachty morskie, przyjął życzenia od załogi, no i oczywiście spotkał się ze studentami.

Jakie były życzenia? Przede wszystkim szczęśliwego powrotu do najbliższych, do kraju, a dla statku i załogi kolejnych nowych, takich jak tu na dalekim wschodzie, odniesionych sukcesów, i by nowej białej fregacie zawsze towarzyszyły silne pomyślne wiatry, takie z jakimi pod

pełnymi żaglami wpłynęliśmy w nowy 1984 rok. Myślę, że możemy życzyć sobie tego wszyscy...

Na to spotkanie umawialiśmy się z Krzysztofem Baranowskim jeszcze w telewizji, w Warszawie. Wiadomo już było, że ja płynę na „Darze” do Japonii, nic pewnego nie było jeszcze w sprawie rejsu „Szkoly pod Żaglami”. Ale oni działali. Miast czekać z założonymi rękami na decyzję, czy popłyną czy nie, przeprowadzali eliminacje, prowadzili przygotowania, organizowali obozy i rejsy dla tych, którzy nie okażą się najlepsi w wyłaniających załogę finalnych zawodach. Zdawali niezbędne egzaminy przed komisją z ministerstwa oświaty i przygotowywali się do realizacji programu dydaktycznego...

Omawiając nad zwykłą fizyczną mapą ewentualny termin i rejon spotkania, tak naprawdę żaden z nas jeszcze nie miał pewności, czy nikt nie przeszkodzi nam go zrealizować...

W Singapurze dotarła do nas wieść, że jednak płyną... Komendant Tadeusz Olechowicz via Gdynia Radio wysłał kapitanowi Baranowskiemu depezę gratulacyjną i serdeczne życzenia powodzenia. Czasami potem rozmawialiśmy o nich na rufie. Dyskutowaliśmy, wymienialiśmy poglądy, opinie...

Gdy w Sylwestra po wyjściu z Colombo, nasz „radzik” rozmawiał na tzw. giełdzie z polskimi statkami przebywającymi w tym rejonie, nawiązaliśmy z „Pogorią” pierwszy kontakt. Na razie jeszcze nie bezpośredni, byli zbyt daleko. Dzieliło ich od nas ponad 1200 mil morskich. Pomogły i pośredniczyły polskie statki. Już 1 stycznia udało się nawiązać pierwszy bezpośredni kontakt. Słyszalność na granicy szumów, ale umówiliśmy się na codzienną łączność o 05.00 i 18.00 czasu Greenwich. Pozycję „Pogorii” 1 stycznia 1984 roku o godzinie 17 GMT określały współrzędne 12 stopni 15,5 minuty szerokości geograficznej północnej i 62 stopnie 44 minuty długości geograficznej wschodniej. Znajdowali się około 810 mil morskich na zachodnio-północny zachód od „Daru Młodzieży” i kursem 118 stopni pod pełnymi żaglami zmierzali ku nam z prędkością 5 i pół węzła...

Teraz już obaj kapitanowie zaczęli korelować kursy swych jednostek. Z wyliczeń nawigatorów wynikało, że spotkanie powinno nastąpić w środek 4.01 przed południem. Na „Darze” postawiono wszystkie żagle. Rozwijając około 10 węzłów ruszyliśmy naprzeciw „Pogorii”.

Słyszalność naszych seansów łączności z każdym dniem była coraz lepsza. Nie tylko bez problemów rozmawialiśmy już na falach eteru, ale i staliśmy się teraz pośrednikiem „Pogorii” w jej łączności z Bombajem i Colombo. Ja też mogłem sobie wreszcie pogadać z przyjaciółmi. Funkcję radiooperatora na jachcie pełnił Janusz Kawęczyński, w kręgach żeglarskich zwany Geografem – jeden

z aktywnych organizatorów „Szkoly pod Żaglami”. Ostatni raz widziałem się z nimi w pierwszych dniach lipca ubiegłego roku. Ja byłem wtedy na kilkanaście dni przed wielką wyprawą „Darem Młodzieży” na daleki wschód, oni – dosłownie na dzień przed eliminacjami, w których wyłonić się miała przyszła załoga „Pogorii”.

Ze względu na nawał przygotowań do rejsu „Darem”, nie byłem w stanie osobiście tych eliminacji obejrzeć. Teraz niecierpliwie wypytywałem „Geografa” przez radio, jak one wyglądały i... co w ogóle działo się aż do wypłynięcia.

– Zawody odbyły się w ośrodku sportowym Marynarki Wojennej na Okywiu w Gdyni. Z ponad dwutysięcznej rzeszy kandydatów, którzy na początku zgłosili swój udział w akcji i podjęli pracę opiekuńczą na rzecz starszych i samotnych osób, do ostatecznych rozgrywek zgłosił się 432 osoby, w tym 136 dziewcząt. Pozostali zrezygnowali, choć jak wskazują listy większość nie przerwała pracy opiekuńczej. Dawała im ona tak wiele osobistej satysfakcji, tak bliskie i silne stały się ich związki emocjonalne z podopiecznymi... – Jak mnie odbierasz? słucham! – „Geograf” przerwał na chwilę opowieść chcąc upewnić się czy dociera ona do mnie. Słyszalność była znakomita. Uspokojony kontynuował.

– Program zawodów obejmował: przepłynięcie 50 m basenu z dwoma przeszkodami, założenie skarpetek, obuwia i koszulki, bieg na dystansie 200 metrów i liczący 10 elementów tor przeszkód. O ostatecznym rezultacie decydowała różnica między średnią ocen otrzymanych w drugim semestrze z 8 wybranych przedmiotów, a uzyskanym czasem w zawodach. – Pierwsza pięćdziesiątka stanowiła ścisłą grupę finałową...

– A co pozostali? Jak przeżyli gorycz pozostania „na plaży”? – udało mi się przerwać na chwilę „zapaleńcowi”.

– Nic podobnego. Nikt nie został „na piachu”! Regulamin przewidywał, że miejsca 51–200 nagrodzone są tygodniowymi rejsami „Pogorią” po Bałtyku, a dla wszystkich pozostałych uczestników eliminacji – bezpłatne skierowania na dwutygodniowe śródlądowe obozy żeglarskie. Ku zaskoczeniu wszystkich, w finale sami chłopcy. Pierwsza dziewczyna zajęła dopiero 52 miejsce!

Potem dla pierwszej pięćdziesiątki obóz kondycyjno-przygotowawczy nad malowniczym jeziorem Miedwie. Szkolenie żeglarskie i testy psychologiczne. Sprawdzanie wiedzy i zdolności adaptacyjnych kandydatów. Intensywny trening fizyczny – i nauka. Tak, tak, nauka. Musieliśmy zrealizować na obozie program przysposobienia obronnego w zakresie drugiej klasy L.O. jedyne go przedmiotu którego prowadzenie w rejsie jest niemal niewykonalne...

Prosto z obozu kandydaci zamustrowali na pokład „Pogorii”.

Tygodniowy rejs na trasie Szczecin-Gdynia, w idealnych bo sztormowych warunkach – ostatecznie ustalił skład naszej eksperymentalnej klasy...

Potem jeszcze nieco ponad miesiąc nerwów i urwania głowy – wiesz przecież jak ciężko jest wypłynąć. I wreszcie 7 września wypływamy! Teraz już tylko morze, nauka i praca. Ale tego się nie boimy. Ani my, ani nasze chłopaki. Tu reguły gry są jasne i ustalone... Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór!

– „Pogoria”! „Pogoria”! Zrozumiałem cię bardzo dobrze. Zrozumiałem cię dobrze...

– Geograf! Musimy kończyć. Nasz „radio” chce wam jeszcze dać ostrzeżenia nawigacyjne, które dziś odebrał na grafii, a potem „lecimy” na Gdynię-Radio, mamy wiele teleksów... Do zobaczenia! Najlepszego!

– Wzzzz, brrr, grr, wzzz, pii, pii, piip... Do zobaczenia! Najlepszego! – doleciało mnie z głośnika...

W środę już od wczesnego ranka wszyscy wyczekiwaliśmy spotkania. Studenci szorowali pokład „Daru”, usuwali najdrobniejsze zacieki czy wypryski rdzy, polerowali mosiężne okucia. Nasza zawsze schludnie wyglądająca fregata na to spotkanie przybrała odświętny wygląd. Łączność z „Pogorią” mieliśmy już radiotelefonem UKF. W kabinie nawigacyjnej na mapie naniesione były pozycje obu jednostek i ustalone przez kapitanów miejsce spotkania. Wpadało około 560 mil morskich na południowy zachód od Bombaju. Na mapie zbiegały się w nim kreski symbolizujące kursy obu żaglowców. Około 6 rano czasu lokalnego na ekranie radaru „Daru Młodzieży” dokładnie w przewidywanym namiarze pokazała się niewielka plamka – „Pogoria”!

A więc spełniło się! Wśród bezmiarów wód Oceanu Indyjskiego, niemal 10 tysięcy mil morskich od kraju, doszło do jedyne w ponad 60-letniej historii polskich żagli spotkania. Wracający z wielkiego dalekowschodniego rejsu „Dar Młodzieży” spotkał się z odbywającą także wielki 9-miesięczny rejs „śladami dawnych kultur” – „Pogorią”.

Na pokładach obu największych, pływających pod białoczerwoną banderą żaglowców – polska młodzież. Na „Darze” – niedawni maturzyści, dziś studenci I roku wydziału nawigacyjnego gdyńskiej Wyższej Szkoły Morskiej, odbywający eksperymentalny „semestr w morzu”. Na „Pogorii” – licealiści eksperymentalnej klasy „Szkoły pod Żaglami”.

Gdy tylko na widnokręgu ukazała się szybko rosnąca sylwetka białą żagli okrytej barkentyny, na „Darze” rozbrzmiały gwizdki oficerów i bosmanów. Obok dotychczas niesionych, stawiamy bram i bombramzagle.

Obie jednostki spotykają się pod pełnymi żaglami!

Cóż za okazja do zdjęć filmowych i fotograficznych! Umawiam się z operatorem, co filmować ma z pokładu, zakładam pas bezpieczeństwa i tuż za wspinającymi się na reje chłopcami idę z kamerami na saling grotmasztu. Pomaga mi jeden z instruktorów porucznik Marek Szymoński. Z wysokości ponad 30 metrów przez reje i żagle „Daru” zdjęcia tego historycznego spotkania powinny być najefektowniejsze...

Widok z salingu dosłownie zapiera dech w piersiach. Gnane rześkim sięgającym 5–6 stopni według skali Beauforta wiatrem, oba statki pod pełnymi żaglami suną ku sobie jak majestatyczne obłoki... Jak dwie wspaniałe zjawy z conradowskich czasów... Na pokład wyprężeni w burtowej paradzie na biało umundurowani chłopcy... I dwie białoczerwone bandery zgodnie sunące w górę we wzajemnym tradycyjnym morskim salucie...

Patrzę na zegarek – 08.25 czasu lokalnego. W kraju jest teraz 04.25 nad ranem. Później, po zejściu z masztu, odnotuję sobie z mapy dokładną pozycję spotkania: 11 stopni 10 minut szerokości geograficznej północnej i 68 stopni 24,6 minut długości wschodniej, 4 stycznia 1984 roku, godz. 03.25 czasu Greenwich.

Minąwszy się lewymi burtami, obie jednostki w niedalekiej odległości stanęły w dryfie. Z dowodzonej przez kapitana Krzysztofa Baranowskiego „Pogorii”, pod komendą jego zastępcy kapitana Ż. W. Andrzeja Drapelli, na pokład „Daru” przybywa kilkusobowa „ekipa abordażowa”. Obok serdecznych pozdrowień przywożą nam okolicznościowe pocztówki opatrzone specjalnie wykonaną przez nauczyciela biologii w szkole pod żaglami, Wojtkę Przybyszewskiego, pieczęcią upamiętniającą nasze spotkanie.

Komendant Tadeusz Olechnowicz podejmuje „delegatów” w salonie i z naszej strony przekazuje załodze „Pogorii” podobne upominki oraz wielką butlę japońskiej sake, i największego rozmiaru... kalosze dla kapitana Andrzeja Drapelli, nie mieszczącego się w żadne z posiadanych w zapasach ich jachtu. Załoga „Pogorii” planowała wzajemne wizyty i spotkania z naszymi studentami. Przygotowali nawet specjalny program artystyczny.

Niestety z powodu warunków meteorologicznych, które panowały na oceanie w rejonie spotkania, ze względów bezpieczeństwa nasz kapitan odrzucił te plany. Udało się jednak uprosić go, by pozwolił mi wraz z operatorem filmowym przepłynąć się małym pontonem na pokład barkentyny w celu realizacji błyskawicznego reportażu. Była to także dla nas jedyna i niepowtarzalna okazja sfilmowania „Daru Młodzieży” w morzu pod pełnymi żaglami...

Ubrani w sztormiaki i kamizelki ratunkowe, po wywieszonym na burcie fregaty sztormtrape zeszliśmy do maleńkiej gumowej łódeczki.

Z góry opuszczono kamery szczelnie opakowane w plastikowe worki i nasi „Charonowie” czyli Andrzej Drapella i bosman „Pogorii” Staszek Choiński oddali cumy. Kilkusetmetrowa „podróż” pontonem przez wody Oceanu Indyjskiego, mimo iż dość mokra, dostarczyła nam niezapomnianych wrażeń.

Spora, w końcu jednak oceaniczna, fala łagodnie unosiła nasz pojazd. Dwa stojące w dryfie pośród bezkresnego morza żaglowce stanowiły widok jak ze starych obrazów, holenderskich czy flamandzkich mistrzów. Nie tylko słone bryzgi, ale i krew mnie zalewała, że w tych warunkach nie można było sięgnąć po kamery... Za takie zdjęcia czełek i duszę by oddał... ale kamery nie zniszczy. Pełni zachwytów, w pontonie niepełnym wody, osiągnęliśmy burtę flagowca Bractwa Żelaznej Szekli.

Teraz już naocznie mogłem się przekonać jak wygląda realizacja eksperymentu wychowawczego, którego projekty wzbudziły swego czasu tyle kontrowersji i zażartych dyskusji.

Na pokładzie, po oddaniu ukłonu banderze i uściśnięciu dłoni kapitana natychmiast otoczony zostałem przez kilkunastu świetnie wyglądających, opalonych i dosłownie tryskających radością chłopaków.

Na moje pierwsze pytanie – gdzie reszta? – wskazali na mieszczącą się w pokładówce salę wykładową. – mają matkę. Dziś geometria. Nawet przy takim spotkaniu „stary” piłuje! Przez zejściówkę zajrzałem do klasy. Rzeczywiście. Na tablicy i w zeszytach jakieś wykresy, figury, kąty... Matko jedyna! Nic a nic już z tego nie pamiętam! Przy tablicy na oko 30-letni „stary”, na mój widok czyni zapraszający gest: – Proszę niech pan wejdzie. I tak już tych „kaczorów” nie utrzymam. Zresztą za chwilę mamy przerwę... Wrzask entuzjazmu i... natychmiast pytania. Lawina pytań: – Niech pan opowie coś o „Darze”! A coś o Japonii! Czy tam jest buddyzm? Jak było w Osace? Czy byliście w Kioto...?

Gdy później dziekan korpusu pedagogicznego, czyli „dyrektor szkoły” Jacek Czajewski, opowiadał mi o wielkiej chłonności i dosłownie wilczym głodzie wiedzy „kaczorów” (jak na pokładzie nazywają swoich podopiecznych), miałem już w tej mierze niejakie własne doświadczenia. Nie dziwiłem się, gdy „sekretarz” „Szkoły pod Żaglami” Kazio Robak opowiedział mi, jak odbywa się w tej nietypowej klasie wcale niemała część lekcji.

– W Anglii zwiedzaliśmy zamki Kornwalii i obejrzelśmy zamek Tristana. Chłopcy dowiedzieli się przy okazji co nieco o kulturze średniowiecza. W Lisbonie na przylądku Sagres, gdzie Henryk Żaglarz założył w połowie XV wieku swą słynną szkołę nawigatorów – wywodzą się z niej takie nazwiska jak Kolumb czy Magellan – zrobiliśmy „kaczorom” wykład o iberyjskich odkryciach geograficznych i idące

za nimi ekspansji kolonialnej. Podobnie w Barcelonie pod pomnikiem Kolumba, gdzie „Pogoria” stała zresztą w pobliżu repliki „Santa Marii”...

W Gibraltarze weszliśmy na górę Tarika i tam chłopcy wysłuchali wykładu o ekspansji Maurów na Europę...

Podobnie we Włoszech, w Grecji, czy Egipcie. Z Aleksandrii przy pomocy działającej tam polskiej misji archeologicznej zrobiliśmy wycieczką pod piramidy w Gizah i tam „kaczory” słuchały lekcji historii starożytnej Egiptu.

– Lekcje biologii, a pięciu chłopców idzie kursem klasy biologicznej, są rozszerzone o biologię morza. „Kaczory” oglądają pod mikroskopem lub preparują własnoręcznie wyłowione okazy. Faunę koralowych atoli mórz południowych obserwują i poznają bezpośrednio, pod nadzorem doświadczonych instruktorów i nauczycieli, nurkując w płytkich zatoczkach koralowych wysepek...

Angielskiego uczą się nie tylko na lekcjach, czy zwiedzając dalekie egzotyczne porty, ale i w bezpośrednich rozmowach z żeglującymi z nami ich rówieśnikami z innych krajów...

– Tak – dopowiada kapitan Baranowski – z odwiedzanych krajów zabieramy dwójkę dzieci w wieku pozostałej części klasy (15–16 lat). Uczestniczą one w poszczególnych etapach rejsu. „Kaczory” nawiązują w ten sposób osobiste kontakty, poznają bliżej ludzi innych krajów, kultur, narodów... Jest to taki nasz mały wkład do wychowania na rzecz pokoju i zrozumienia międzynarodowego, zgodnie z duchem idei Organizacji Narodów Zjednoczonych. Patronuje nam przecież Polski Komitet UNESCO. A narodowe komitety UNESCO w odwiedzanych krajach często pełnią rolę gospodarza naszych wizyt. Organizują dla nas wycieczki, spotkania, czasem całe programy pobytu...

W rejsie przerabiany jest nie tylko normalny obowiązujący we wszystkich polskich liceach program II klasy szkoły ogólnokształcącej, ale i takie przedmioty jak: religie świata, filozofia, elementy archeologii, etnografii, zarys dziejów kultury, biologia morza – o której wspominał Kazimierz, czy wreszcie meteorologia, żegluga i nawigacja. Codziennie (także w soboty i niedziele) od 8.20 do 13.15 – sześć normalnych godzin lekcyjnych oddzielonych 5-minutowymi przerwami, a poza 4-godziną wachtą zajęcia indywidualne, seminaryjne, konsultacje...

Robiąc zdjęcia na dziobie jachtu rozmawiam z chłopcami. Bardzo dużo macie zajęć. Jak sobie dajecie radę? Nie jesteście zmęczeni?

– Jakoś leci. Zajęć rzeczywiście jest dużo. Szczególnie gdy ktoś jeszcze uczy się francuskiego czy niemieckiego... Ale jakoś starcza nam czasu. Mamy jeszcze swój kabarecik. I gazetkę! I kółko fotograficzne! Piszemy pamiętniki, a niektórzy to nawet korespondencje do gazet!

– Gazetkę to robią Darek Budziński z Gdyni, Wojtek Szymański z Lublina, Zbyszek Fabisiak z Łęborka i Maliccy – bliźniaki z Sejn! Kabaret, szopki, to Robert Zieliński z Tczewa, Przemek Predygiel z Kielc i Julek Gojło z Mrągorowa. Ale zawsze każdy coś pomoże... każdy coś chce zrobić... i jest fajno! „kangury” – mamy trzech polskich chłopaków z Australii – też się przyłączają...

Za nimi już 10 tysięcy przebytych mil morskich. W ciągu 4 miesięcy rejsu odwiedzili blisko 30 portów w 15 krajach na trzech kontynentach. W Rzymie spotkali się z Papieżem, w Grecji oglądali antyczne świątynie, w Egipcie piramidy... Przed nimi Indie i co najmniej 15 kolejnych, egzotycznych, i pasjonujących portów w wielkim rejsie wokół Afryki – śladami dawnych kultur...

Młodzież ze „Szkoły pod Żaglami” jest oczarowana przygodą swego życia. Uwierzyli, że można zrealizować nawet najśmielsze marzenia. Zrozumieli ile zależy może od wiary w cel i rzetelnej solidnej pracy... Nie widać po nich ani śladu zmęczenia, czy psychicznego znużenia długą już i przecież niełatwą podróżą. Pызate opalone twarze (wszyscy przybrali na wadze, zmężnieli) promieniają zapałem i entuzjazmem. Czy tęsknią do rodziców? – Tak! Niech ich pan pozdrowi serdecznie. Ale tu na jachcie jest fajnie... i ciekawie!

Projekt i sam pierwszy etap realizacji koncepcji „Szkoły pod Żaglami” wzbudziły swego czasu szalone kontrowersje. Oponenci Baranowskiego i jego współzapaleńców arbitralnie przewidywali, że kadra wyprawy może być albo nauczycielami, albo żaglarzami. Że dzieciakom grozi niedouczenie albo kiepska nieumiejętna żegluga. Że cały pomysł jest hochsztaplerskim parawanem dla wycieczki grupy cwaniaków: Udowodniano wreszcie, że cała idea eksperymentu jest bez sensu.

Jeśli ktoś martwi się o poziom nauczania w tej niezwykle szkole, niech pocieszy go fakt, iż rodzice angielskiego rodzeństwa, które żeglować miało na „Pogorii” tylko jeden etap, osobiście zapoznawszy się z postępami dzieci, postanowili wypisać pociechy z oxfordzkiej High School, aby cały rok szkolny spędziły w polskiej szkole pod żaglami.

Zatroskanym zaś o bezpieczeństwo żeglugi prowadzonego przez amatorów jachtu przytaczam wypowiedź zawodowego kapitana żeglugi wielkiej, doświadczonego i cenionego nawigatora o wieloletnim stażu Andrzeja Drapelli, Który zgodnie z wymogami Urzędu Morskiego pełni na jachcie funkcję zastępcy kapitana: – „... My zawodowi marynarze na wielkich statkach wozimy wielkie ładunki na dalekich trasach. I robimy to dobrze, najlepiej jak możemy. Ci tutaj choć nie mają zawodowych patentów, wiozą najcenniejszy ładunek – naszą młodzież. Uczą ją, wychowują i rozwijają... Tak jak oni to robią, nie robi tego nikt...!”

Już po powrocie na pokład „Daru Młodzieży”, przez „ukaefkę” zapytałem kapitana Baranowskiego, jak określiłyby krótki sens realizacji tego eksperymentu. Oba statki oddalały się już od siebie i słyszalność na UKF-ie stopniowo słabła. Z głośnika jednak dochodziło wyraźnie:

„...Sens tej wyprawy? W naszych czasach, deprecjacji wielu wartości moralnych, braku ideałów, warto spróbować zabrać na pokład grono młodych ludzi i bez retuszu pokazać im prawdziwą szkołę życia, jaką tylko morze dać potrafi. A także, aby w tej scenerii przywrócić właściwą rangę niewielu dziś znaczącym słowom: odpowiedzialność, koleżeństwo, wytrwałość, rzetelność. Wszystko to z nadzieją, że grupka ta może stać się zaczynem dobrego, źródłem wielu korzystnych przemian własnego środowiska... Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.”

– „Pogoria”, „Pogoria”... „Dar Młodzieży”. Zrozumiałem dobrze! Pomyślnych wiatrów. Zrozumiałem dobrze...

O wartościach płynących z takiej szkoły życia pisał też Conrad w swym słynnym „Memoriale”. I On z własnej przecież praktyki i osobistych obserwacji wiedział, że:

„...całkowity zakres praktyki młodego marynarza powinien obejmować doświadczenia długiego ciągu dni spędzonych na morzu, między wodą a niebem. Miałoby to dla niego wartość duchową i praktyczną, choćby w przyszłym życiu zawodowym nie było mu przeznaczone tracić z oczu lądu na okres dłuższy niż kilka dni...”

Wpływ takiej długiej żeglugi na młode osobowości i charaktery – widzieć mogłem osobiście także i w naszym rejsie.